Rok II. Lwów, wtorek 21. kwietnia 1908. Nr. 380.

1 cent

GONIEC POLSKI

2 hal.

Wychodzi codziennie o g. 12 w południe.

PRENUMERATA:

WE LWOWIE:		NA PROWINCYI:	
miesięcznie	50 h	mies. z przes. poczt.	1 K
„ z dostawą do domu	1 K	kwartalnie	3 K
numer pojedynczy	2 h	numer pojedynczy	4 h

NR. TELEFONU: 982. Zagranicą 2 franki miesięcznie z przesyłką pocztową. Sprzedaż pojedynczych numerów ul. Sienkiewicza 11.

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za jednoszpaltowy wiersz petitem. Redakcya i Administracya Lwów, Podwale 7. Drobne ogłoszenia po 4 halerze od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenie 40 halerzy.

Administracya „Gońca Polskiego“ znajduje się obecnie pod L. 7. przy ul. Frydrychów II. p. Drobna sprzedaż zaś pod L. 11. przy ul. Sienkiewicza (obok cukierni p. Litwińskiego).

Od wydawnictwa.

Aby położyć kres rozmaitym, bałamucącym Publiczność pogłoskom i ustnym i drukowanym w sprawie kompetencyi lub niekompetencyi wydawania „Gońca Polskiego“, oznajmiamy, że aż do ukończenia sporu sądowego o prawo własności, wydawnictwo „Gońca Polskiego“ i drukarnia tegoż pisma pozostaje **pod jedynym i wyłącznym zarządem ustanowionego uchwałą c. k. Sądu pow. z dnia 21. marca zarządcy sądowego.**

Zarazem dodajemy, że czasopismo „Goniec Polski“ nie ma nic wspólnego z pismem „Goniec“ i że jakiekolwiek należności wydawnictwa, nie pod adresem „Gońca Polskiego“ uiszczone, za nieważne uważane będą.

Lwów, 10. kwietnia 1908.

Zarządca sądowy wydawnictwa.

Co dzień niesie?

Na drożyznę życia ustalił się u nas pogląd, jako na klęskę żywiołową, przyczem, na pociechę, zwykliśmy powtarzać: „Ha, trudno; nietylko u nas jednych wszystko drożej. To samo daje się zauważyć i za granicą“.

Tego rodzaju wnioski, posiadające pewne pozory słuszności, nie mają w rzeczywistości żadnych podstaw realnych. Powoływanie się np. na zagranicę mógłby obalić pierwszy lepszy cudzoziemiec.

W Europie istotnie wzrasta cena ziemi i po części cena mieszkań w miastach; we wszystkich jednak innych dziedzinach poziom cen nie ulega żadnym znaczniejszym wahaniom, w dziedzinie zaś wytwórczości fabrycznej daje się zauważyć stała, a chwalebna dążność do możliwego obniżenia ceny sprzedażnej towarów.

Przedsiębiorczy i żywotny handel europejski nie zna rutyny. Jeśli tylko jakikolwiek produkt drożeje, w tej chwili, dzięki doskonałym urządzeniom wywiadowczym, organizuje się jego dostawa z tych miejscowości, gdzie jest tańszy. Okręty stają pod parą i mkną po towary choćby na krańce świata.

Europa zachodnia za mało produkuje zboża i bydła na swoje wyżywienie, a jednak byłoby tam rzeczą niemożliwą, aby piekarz, zamiast bułki o wadze i rozmiarach określonych, wypiekał i sprzedawał po cenach zwykłych jakieś kulki, jak się to dzieje naprzykład z t. zw. „kajzerkami“, albo, żeby mięso podskakiwało raptem

Katastrofa na rzece.



w cenie o 10 lub 20 proc. Zagranica tego nie zna; u nas należy to do zjawisk zwykłych, codziennych.

Kiedy piwowarowie niemieccy powzięli zamiar podwyższenia ceny piwa o 1—2 fenigi na butelce, ludność wszczęła taki alarm, że o mały włos nie wybuchła w Niemczech — rewolucya.

Nie wypada, rzecz prosta, rozpalać ognia rewolucyi z powodu wypieku mikroskopijnych bułek, lub nieprzepartej chęci sprzedawania w jatkach przez rzeźników mięsa z obfitą przymieszką kości po cenach obficie słonych — należy jednakże walczyć wszelkiemi siłami z drożyzną, choćby dlatego, że w ogromnej ilości wypadków jest ona wynikiem nie „klęsk żywiołowych“, lecz prostem następstwem chciwości sklepikarskiej, ufnych w bezkarność swego postępowania spekulantów, którzy zawsze znajdą, bądź w przepisach istniejących, bądź w skarbnicy swej pomysłowości, jakiś środek niezawodny, na napełnienie swych kieszeni kosztem niezamożnych najczęściej klas narodu, operując najchętniej na terenie artykułów pierwszej potrzeby.

I jest im dobrze z tą drożyzną życia, ogółowi jednak jest z tem źle, ciężko i — coraz ciężej. — Ale z takiemi drobnostkami nikt się nie liczy.

U nas i na świecie.

Na Górnym Śląsku, po długich rokowaniach, przyszedł nareszcie do skutku

kompromis Polaków z centrum

w sprawie wyborów do sejmu pruskiego. Na podstawie tego kompromisu Polakom na Górnym Śląsku przypadną trzy mandaty poselskie w zamian za poparcie, jakiego udzielą Polacy podczas wyborów Niemcom-katolikom, zjednoczonym w centrum. Kompromis ten jest wypadkiem ważnym i pocieszającym. Raz dlatego, że wzmocni siły Polaków w sejmie pruskim, w którym radacy nasi z Górnego Śląska nie mieli dotąd przedstawicieli, a następnie, że zbliża ich do możnego i potężnego stronnictwa politycznego, które dotąd widzieli Polacy po stronie swych wrogów.

Jak donoszą z Wiednia, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że jeszcze przed zebraniem się Rady państwa,

klub ukraiński

w dzisiejszej swej postaci, przestanie istnieć. Prawdopodobnie podzieli się on na dwie części. Większa część będzie się składać z posłów umiarkowanych ukraińskich, do tej części przyłączą się pp. Romańczuk i Wassilko, za którym pójdą posłowie wybrani na Bukowinie.

Natomiast posłowie skrajni ukraińscy zwolennicy terroryzmu, jak Eugeniusz Lewicki, Trylowski, Budzynowski, Petrycki, Staruch, a prawdopodobnie także jeden, albo obaj księża, zasiadający w dotychczasowym klubie ukraińskim, utworzą

osobną grupę skrajnych radykałów,

którzy będą musieli przyłączyć się do stronnictwa socyalno-demokratycznego. O ile jednak wiadomo, stronnictwo socyalistyczne nie będzie chciało nawiązywać oficyalnych stosunków z terrorystami ukraińskimi, ażeby nie brać na siebie odpowiedzialności za ewentualne wybryki tych posłów w parlamencie.

Smutne i brzemienne w nieprzewidziane następstwa czasy nadeszły dla

Litwy.

Kapituła wileńska w całym swym składzie, jak wiadomo, zniesiona. W razie śmierci proboszcza, kościół będzie stał zamknięty, bo nie ma władzy legalnej do zamianowania następcy. Pogrzeby, śluby, chrzty, dysponowanie na śmierć, spowiadanie zostaną bez obsługi. Niema komu zarządzić tranzlokacyi kapłanów, udzielania urlopów, asygnowania środków na reperacye świątyń.

Taki stan ma trwać aż do nadaszczenia nowego pasterza, co może nastąpić — niewiadomo kiedy, jeżeli walka, wszczęta z hierarchią wyższą kościelną, przeciągnie się. Można wyobrazić sobie, do czego dojdzie stan dyecezyi za lat kilka przy takiem niebywałem bezkrólewiu. Połowa kraju może zostać bez obsługi religijnej.

Hakatystyczna *„Schlesische Ztg.“* ogłasza otrzymany z Petersburga alarmujący artykuł o

projektach antyniemieckich rządu rosyjskiego,

a zwłaszcza o zamiarze zruszczenia prowincyi nadbałtyckich i wyrzucenia Niemców z domen carskich na Podolu. Autor artykułu przewiduje, że jest to dopiero początek akcyi przeciwniemieckiej w Rosyi i potępia namiętnie te zarządzenia jako niezgodne ze sprawiedliwością. Ale gdy chodziło o wywłaszczenie Polaków, to samo pismo wołało, że nieuchwalenie projektu wywłaszczenia byłoby zbrodnią wobec ojczyzny niemieckiej. Niech teraz poczują pieski hakastyczne, jakie to przyjemne.

W sprawie znanego już czytelnikom

zatargu persko-rosyjskiego

z powodu gwałcenia granicy rosyjskiej przez bandy perskie, donoszą, że ostatni napad perski, który wywołał interwencyę ze strony rządu rosyjskiego miał przebieg nadzwyczaj gwałtowny. Napad zorganizował chan perski, Mamedkuli, który na czele przeszło 500 rozbójników napadł posterunki perskie a następnie rosyjskie. W starciu napastnicy stracili 34 ludzi, poczem schronili się w góry. Wiele budynków, między innymi urząd celny, zostało zniszczonych skutkiem pożaru. W całym pasie pogranicznym panuje zupełna anarchia.

Ludność Chin, rozdrażniona zatargiem z Japonią o statek „Tatsu Maru“, wzięła się nie na żarty do ukarania wyspiarzy przez

bojkot towarów japońskich.

Akcyę bojkotu prowadzą z nieznaną dotychczas w Chinach energią i zapałem. Główna giełda grosistów chińskich wysłała telegraficzny rozkaz do swych agentów

Z winy królowej.

Pan Jan, dzierżawca niewielkiego majątku, zapalony pszczelarz, postanowił udoskonalić rasę pszczół w swojej pasiece i dlatego dowiedziawszy się, że na wystawie rolniczo-przemysłowej w X. są do sprzedania królowe-matki, w jednej chwili zdecydował się jechać i nabyć jedną.

Wyszukał rzeczywiście śliczny okaz i nie namyślając się kupił.

Złote oczy, ładne nóżki w czarne i żółte prążki i delikatny pancerz składały się na całość bardzo piękną.

Zachodziła pewna trudność z przewiezieniem jej do domu. Pan Jan jednak nie od parady nosił głowę na karku; tak przynajmniej mówili o nim jego sąsiedzi.

Wziął puste pudełko od zapałek, wykrajał ostrożnie wierzch, a w to miejsce nakleił podziurkowany kawałek papieru.

Włożył w tak przygotowane pudełko śliczną królowę. ażeby zaś nie nudziło jej się samej, kupił jeszcze do towarzystwa jej cztery pszczoły robocze.

Jakże wiele obiecywał sobie ze zmiany królowej, z jaką radością schował pudełko do kieszeni kraciastych spodni.

Idąc na stacyę kolei, wstąpił do biura telegrafu i podał depeszę do narzeczonej, prosząc aby go oczekiwała na przystanku B. W biurze panował taki tłok, tak wielu było interesentów, że dosyć długo musiał czekać. Gdy wyszedł i spojrzał na zegarek było dwie minuty czasu do odejścia pociągu. Pędem puścił się przez ulicę i zadyszany wpadł na peron w chwili, gdy konduktorzy zamykali drzwiczki wagonów.

Nie kupując już biletu wskoczył do otwartego jeszcze przedziału i tak już przepełnionego. Wskakując, zawadził o wyciągnięte nogi starego jakiegoś pana i upadł jak długi, przyczem głowa jego znalazła się przez chwilę na kolanach chudej starej panny, która oburzona taką śmiałością, głośno krzyknęła.

Pan Jan począł ją przepraszać i usprawiedliwiać się gorąco, usłyszawszy jednak jak stary jegomość mruknął „waryat“ — zaczerwienił się okropnie i już najspokojniej, jak mógł, usadowił się pomiędzy starą panną a grubą rzeźniczką. Postanowił spokojnie i cicho siedzieć, chciał, bowiem, by stary jegomość zmienił o nim swoje zdanie

Niestety, uczuł nagle gwałtowne swędzenie prawej nogi. Ukradkiem, nie chcąc żadnym szybszym ruchem wzbudzać podejrzeń, znowu dotknął się nogi, zrobił to jednakże tak niezręcznie, że potrącił lekko siedzącą obok niego rzeźniczkę.

— Proszę, proszę pana, żeby się to tylko drugi raz nie powtórzyło — zauważyła cierpko gruba dama.

Pan Jan zaczerniwienił się znowu i zmieszał się bardzo, swędzenie jednak spotęgowało się tak mocno, że nie panując już nad sobą, skoczył w ściekłością w górę.

— Wielki Boże, a to co znowu — skrzeczy stara panna.

— Jeżeli pan chcesz wyrabiać takie awantury, nie trzeba było siadać do jednego przedziału z porządnymi ludźmi — wtrącił z niechęcią stary jegomość.

— Że też to kolej na coś podobnego pozwala — odezwał się głos jakiś z kąta.

Pan Jan uczuł w tej chwili straszne, bolesne ukłucia. Wsunął ostrożnie rękę do kieszeni, i wyciągnął pudełko z pszczołami niestety, było puste, przeczucie go nie zawiodło. Upadając przy wsiadaniu do wagonu zgniótł je, papierowy wierzch pękł, z królowej matki i jej dworu ani śladu.

Pan Jan czuje teraz, że pszczoły rozeszły się po całem ciele i gryzą go i kąsają strasznie. Rzuca się na wszystkie strony, i wrzeszczy w niebogłosy.

— Ależ ten człowiek oszalał — woła wystraszona rzeźniczka.

— Konduktorze, panie konduktorze, proszę nas stąd wypuścić! zaczynają wszyscy wołać, wychylając się za okna.

Pan Jan tymczasem leży na ziemi i wije się z bólu.

— On nas tu jeszcze pomorduje wszystkich, ten waryat — piszczy dyszkantem stara panna i chwyta się ramienia starego jegomościa, chcąc widocznie szukać u niego ratunku.

— Spokojnie, tylko spokojnie, tylko spokojnie — mruczy stary; — co panu jest, — czego tąk wrzeszczysz — dodał nachylając się nad panem Janem.

— Nic mogę, nie mogę już wytrzymać dłużej — gryzą, kąsają, kłują o!.. wyjdźcie wszyscy, muszę się rozebrać inaczej was mogą pokąsać.

— To szaleniec, uciekł widocznie z zakładu dla obłąkanych — odezwał się któryś z podróżnych.

Rozległ się przeraźliwy świst lokomotywy. Stacya N.

Podróżni wszyscy z wyjątkiem pana Jana pośpiesznie opuszczają przedział.

w Nagasaki, Kobe i Yokohamie, żeby więcej nie czynili żadnych zakupów z Japonii, te zaś towary, które są już kupione, mają być wysłane do Chin na statkach nie japońskich, gdyż inaczej nie będą wcale wyładowane. Do bojkotu przystąpili również wszyscy kupcy detaliczni. Agitacya za bojkotem przybiera takie rozmiary, że rząd chiński zaczyna obawiać się poważnego zatargu z Japonią, gdyż jednocześnie z bojkotem szerzy się i uśpiona przez jakiś czas nienawiść do Japończyków.

Echa ohydnego mordu hajdamackiego.

Korespondent wiedeński „Nowej Reformy“ rozmawiał z przewódcą stronnictwa ludowego

Janem Stapińskim

o sytuacyi, wytworzonej przez zamordowanie śp. namiestnika, i w sprawie kandydatów na to stanowisko. P. Stapiński określił chwilę obecną jako niezmiernie doniosłą i rzekł:

„Wiedziałem, czego się można spodziewać po działalności takich posłów ruskich, jak Budzynowski, Trylowski, Eugeniusz Lewicki, Petrycki, Baczyński i Staruch, ale, że aż do mordów dojdzie i do publicznego sławienia morderców, jako bohaterów, tego przecież nie przypuszczałem. Na szczęście

złą chwilę wybrali

panowie Budzynowscy i towarzysze do rozpoczęcia terorystycznej polityki zamachów i mordów, bo o ile znam sytuacyę w kraju, społeczeństwo polskie w Galicyi znajduje się w tej chwili pod znakiem

zupełnego zjednoczenia,

więc jest dość silne, aby z całym spokojem i trzeźwością sądu odeprzeć awanturników ukraińskich. To też przy wyborze osoby nowego namiestnika, chodzi nam, ludowcom, tylko o to, aby nowy namiestnik potrafił stanąć na wysokości zadania i aby umiał wyzyskać sytuacyę dla zażegnania burzy, której pragną Budzynowscy i inni wielbiciele Siczyńskiego“.

*

Wdowa po zamordowanym skrytobójczo śp. namiestniku

hr. Andrzejowa Potocka,

ogłasza następujące pismo:

„Tym wszystkim nieprzeliczonym zastępom, które tak we Lwowie, jak w Krakowie i w Krzeszowicach śp. mężowi memu ostatnią a zbożną usługę oddały, jakoteż i tym także, którzy na stacyach, przez które pociąg żałobny przejeżdżał, obecnością swoją pamięci śp. męża mego tak pełen powagi hołd i cześć oddali — nie mogąc inaczej, na tej tu drodze — za te podniosłe i kojące objawy współczucia i żalu w imieniu mojem, dzieci i rodziny gorące i z serca płynące podziękowanie składam.

„Myślą i dążeniem życia zmarłego była łączność w trudzie dźwigającym Ojczyznę i łączność miłości chrześcijańskiej, która trud ten wspomaga i osładza. Pragnąc tego najgoręciej, dążył do zbliżenia w duchu prawdy, wspólnej dla kraju pracy i zasługi dwóch zamieszkujących kraj ten narodowości.

„Oby Bóg w miłosierdziu dał nam wszystkim tę pociechę, — by krew niewinnie przelana użyźniała grunt Ojczyzny ku zgodzie i lepszej przyszłości.

Andrzejowa Potocka“.

*

Do znanych już szczegółów o rodzinie mordercy dodajemy poniżej nadzwyczaj charakterystyczne informacye, nadesłane z Łanczyna o siostrze mordercy, a obecnie żonie posła hajdamackiego dr. Eugeniusza Lewickiego,

Helenie Siczyńskiej-Lewickiej

która rozsławiła się obecnie entuzyastycznem zachowaniem się wobec morderstwa, a o bracie-skrytobójcy powiedziała, że jest dumną, iż go posiada. Otóż o tej to „patryotce“ hajdamackiej donoszą z Łanczyna, gdzie była w swoim czasie nauczycielką szkoły ludowej, że już wtedy odznaczała się

dzikimi instynktami,

którym dawała folgę przy każdej sposobności. Między innemi np. napadała wiejskich parobczaków po drogach i biła po twarzy za nieoddanie jej ukłonu, do wszystkiego zaś, co polskie, czuła dziką nienawiść.

Najwymowniej jednak charakteryzuje panią Lewicką następujący fakt z owych czasów:

W roku 1903 przeniesiony został do salin w Łańczynie niejaki Bandysz, sztygar z Wieliczki, którego 7 letnie dziecko miało nieszczęście uczęszczać do klasy Siczyńskiej, a ponieważ dziecko nigdy nie słysząc w życiu mowy ruskiej nie rozumiało jej, — przeto Siczyńska

w tak zwierzęcy sposób znęcała się

nad niem, biła po twarzy i kopała, że sprawa oparła się o sąd, który wytoczył jej dochodzenia o zbrodnię ciężkiego uszkodzenia ciała. Wskutek zabiegów ks. Mandyczewskiego, inspektora szkolnego ks. Abrysowskiego i innych, sprawa została umorzona, a Siczyńska dekretem Rady szkolnej okręgowej w Nadwórnie z dnia 22. czerwca 1904 została za pospolitą zbrodnię administracyjnie skarconą.

Morderca Siczyński również wtedy przebywał w Łanczynie, podburzając ludność przeciw Polakom, za co został

zasądzony na areszt

przez starostę w Nadwórnie.

*

Śledztwo w sprawie morderstwa toczy się nieprzerwanie w dalszym ciągu. Zostali już przesłuchani wszyscy świadkowie, zamieszkali we Lwowie, którzy mogli rzucić jakiekolwiek światło na sprawę. Obecnie

---

Uwiadomiony przez konduktora zawiadowca stacyi zbliżył się do wagonu i zamknąwszy starannie drzwiczki, stanął w otwartem oknie.

— Cóż to za krzyki pan wyrabiasz?— zapytał.

Pan Jan, któremu udało się zgnieść przez ubranie jedną z najbardziej dokuczliwych pszczół, uspokoił się na chwilę, i zbliżył się do okna.

— Ach! — westchnął ciężko, — wszystkie uciekły, panie wszystkie!

— Wszystkie! a ileż ich było? — pyta zawiadowca, myśląc, że rzeczywiście ma przed sobą warjata.

— Pięć, cztery robotnice i jedna królowa, ach! tej żal mi najwięcej! Tyle za nią zapłaciłem!

— Co? Królowa? jakżeż wyglądała? — pyta zawiadowca dalej.

— Jak żyję, nie widziałem tak ślicznego okazu. — Miała złote oczy, pyszny pancerz, a nóżki w czarne i żółte prążki — odpowiedział wzdychając pan Jan.

— Ładna królowa! — rzekł śmiejąc się zawiadowca — no, a inne jak wyglądały?

— Jakto, jak wyglądały? — powtórzył zdziwiony pan Jan — jak zwykle pszczoły robocze, każda podobna jedna do drugiej.

— Zechciej pan na koniec pozostawić pszczoły w spokoju i odpowiadaj na zapytanie — powiedział zniecierpliwiony zawiadowca, — niech pszczoły wywietrzeją panu z głowy.

— Z głowy! — zadziwił się pan Jan — w głowie ich nie mam, tylko w spodniach.

— Cha, cha, cha — wybuchnął śmiechem zawiadowca, — królowa i pięć robotnic w spodniach, nie, to doskonałe! — no, ale czegóż pan tak rzucasz się i krzyczysz!?

Panu Janowi pszczoły znowu zaczęły dokuczać widocznie, bo upadł na ziemię i krzycząc i jęcząc, wił się z bólu.

Rozległ się trzeci dzwonek.

Zataczając się prawie od śmiechu, zawiadowca odszedł od okna i zobaczywszy przechodzącego urzędnika polecił mu telefonicznie zawiadomić najbliższą stacyę, że w pociągu Nr. 16 jedzie waryat i że należy przedsięwziąć odpowiednie środki ostrożności.

Zaledwie pociąg ruszył, pan Jan nie panując już nad sobą, zaczął z pośpiechem ściągać spodnie; cokolwiek bądź pozbawił uwolnić się od dokuczliwych pszczół.

Zbliżył się do okna i bardzo ostrożnie przewrócił nogawki na drugą stronę.

Dwie pszczoły uleciały zaraz przez okno, trzy jednak tkwiły jeszcze w fałdach; jedna z nich — była królowa-matka.

— Ha! podstępne, zdradzieckie stworzenie — zasyczał pan Jan — tyle obiecywałem sobie po tobie, a ty tak straszliwie pokąsałaś mnie i pogryzłaś, pędź teraz na złamanie karku, giń!

I wysunąwszy spodnie za okno, gwałtownie, z wściekłością prawie trząść niemi zaczął.

Nie tu jednak był kres niepowodzeń, bo oto tuż obok po sąsiedniej linii, z przeciwnej strony pędził kuryer. Pan Jan nie zdążył już cofnąć rąk i trzymawszy w nich spodni, gdy mu tuż nad uchem zaszumiało, zahuczało.

Wystający jakiś hak u pędzącego z szybkością błyskawicy pociągu zaczepił spodnie i wyrwał je z rąk oszołomionego pana Jana, zanim ten zrozumiał, co się dzieje.

Powiewając tryumfująco w powietrzu oryginalną chorągiewką, kuryer popędził dalej.

Pan Jan zdrętwiał, zrozumiawszy całą grozę i komizm obecnego swego położenia.

Wtulił się w róg ławki i tak siedział, dopóki gwizdki lokomotywy, oznajmiającej że pociąg zbliża się znowu do stacyi, nie wyrwały go z tego odrętwienia.

— Wielki Boże! wszakże to stacya B., gdzie miałem spotkać narzeczoną i przyszłą teściowę! Co teraz będzie? o! do kroćset szatanów, przeklęte niechaj będą wszystkie pszczoły, pasieki, królowe i t. d. Jakże się teraz pokażę narzeczonej w tym stroju, cóż ona powie na to?

Jeden jeszcze głośniejszy przeciągły gwizd, i pociąg stanął. Panu Janowi zdawało się, że zbliża się dlań godzina śmierci. Wychylając się ostrożnie przez okno, spostrzegł narzeczoną, jej matkę i wiele innych znajomych.

Prawie jednocześnie otwierają się drzwi i do przedziału wchodzi konduktor, a za nim dwóch żandarmów.

Wszyscy zbliżają się do pana Jana zbitą gromadką; jeden z nich trzyma w ręku kaftan dla waryatów.

— Czego chcecie panowie odemnie?— zapytuje pan Jan, widząc, jak jeden z przybyłych usiłuje włożyć mu kaftan na ramiona.

czeka sędzia śledczy na nowy materyał, którego ma dostarczyć policya. Policya bowiem rozesłała

na prowincyę

kilkunastu najsprytniejszych agentów, którzy mają iść za danemi im wskazówkami, o ile prowincya wchodziła w styczność ze zbrodnią popełnioną we Lwowie.

Pogłoski, jakoby Siczyński odmawia zeznań przed sędzią śledczym, a główne zeznania poczynić miał dopiero przed sądem przysięgłych, są nieprawdziwe. Siczyński, podobnie, jak i jego matka trwają dalej w poczynionych poprzednio zeznaniach.

Również nieprawdziwe są pogłoski, od czasu do czasu kursujące po mieście, jakoby Siczyński miał się otruć, czy powiesić. Siczyński bowiem jest tak pilnie strzeżony, że wszelka możliwość samobójstwa jest wprost wykluczoną.

Straszny pożar.

Miasto Boston w Ameryce północnej nawiedził olbrzymi pożar. Wybuchł on w dzielnicy Chelsea, oddzielonej od właściwego miasta rzeką, a liczącej z górą 40.000 mieszkańców, z których obecnie prawie połowa jest bez dachu nad głową.

Katastrofę wywołali trzej zbieracze szmat, którzy na obszernym, niezabudowanym placu, w pobliżu fabryk, rozpalili ognisko, przy którem chcieli szmatę suszyć. Gwałtowny wicher rozniósł ognisko, setki leżących na ziemi szmat i kawałków papieru, przesyconych tłuszczem, zapaliły się, a wicher znów porwał je i pędził na stojącą w pobliżu fabrykę, przerabiającą gałgany. Ta w jednej chwili stanęła w ogniu, który z błyskawiczną szybkością przenosił się z budynku na budynek i całe miasto prawie stało w ogniu, zanim zdołano zaalarmować straż ogniową.

Pożar trwał do późnej nocy. Sypiące się iskry zapaliły kilka wielkich zbiorników nafty towarzystwa „Standard Oil Company" które wybuchły z niesłychaną siłą.

Domy paliły się, jak zapałki, były bowiem prawie wszystkie z drzewa. Zgorzało ogółem blisko 1.200 domów, a 15.000 ludzi pozostało bez dachu. Szkody wynoszą 12 milionów dolarów, czyli 60,000.000 kor.

Ile jest ofiar w ludziach, na razie niewiadomo, gdyż gruzy nie są uprzątnięte — brak jest 90 osób, a przeszło 80 jest ranionych.

Położenie pogorzelców jest straszne; setki osób spędziły dzień pożaru o głodzie, a zachowanie się ich było pod wieczór takie groźne, że władze musiały przedsięwziąć środki dla utrzymania porządku.

Podczas pożaru rozgrywały się grozą przejmujące sceny.

Pewna kobieta, której nie pozwolono powrócić do jej płonącego domu, zastrzeliła się na miejscu.

Na stacyę policyjną przyprowadzono 50 zaginionych dzieci od roku do lat 5, między innymi przyszła kobieta z rocznemi bliźniętami, które jakaś z rozpaczona matka wcisnęła jej w objęcia, z okrzykiem, że musi szukać reszty swoich dzieci, i nie wróciła. Dziesięcioletni chłopiec przyniósł roczne dziecko, które znalazł leżące w rynsztoku.

Oprócz domów mieszkalnych, pożar zniszczył trzynaście kościołów, szpital, sześć gmachów bankowych, a wogóle ogarnął całą milę kwadratową.

Wojsko obsadziło pogorzelisko i utrzymuje porządek, a w kuchniach polowych gotowane jest pożywienie dla ubogich.

— Proszę być tylko spokojnym — odrzekł jeden z żandarmów — włożyć to i iść z nami.

Pan Jan zrozumiał nakoniec, że biorą go za waryata; z wielką siłą odepchnął najbliżej stojącego żandarma, dwóch innych, którzy próbowali schwytać go, poczęstował potężnemi kułakami w bok i tak, jak stał, wypadł na peron.

Rozległ się głośny okrzyk.

To narzeczona jego poznała go. Zdumiona i oburzona do najwyższego stopnia jego ubraniem, zaczerwieniona ze wstydu odwróciła głowę w drugą stronę.

Słyszy jednak głośne śmiechy, krzyki, nawoływania, aż podnosząc oczy, widzi znowu narzeczonego, jak schwytany i prowadzony przez żandarmów siada wraz z nimi do dorożki.

Przesłuchanie w biurze policyi miało być podobno tak zabawne, że urzędnicy pokładali się ze śmiechu. Od tego czasu jednak pan Jan nigdy nie próbował żadnych udoskonaleń rasowych, nigdy nie zwiedzał wystaw, i nigdy więcej nie zobaczył narzeczonej, gdyż, jak mu potem napisała, nie miała wcale chęci zaślubić właściciela tak nieobfitej garderoby....

To i owo.

Małoletni bombardziści.

Szczyci się świat zdobyczami wynalazków kultury, genialne głowy wytężają myśl i zdolności, żeby w dziedzinie wiedzy coraz nowe czynić odkrycia.

Każdy z takich wynalazków, opatentowany, wchodzi w życie i ma za zadanie w różnych kierunkach ułatwiać, oświecać i uprzyjemniać ludzkie istnienie. Powodowani zmysłem zniszczenia, wysilają się też ludzie na wyjnadywanie narzędzi morderczych w najrozmaitszych odmianach.

Pomijam okrucieństwa i barbarzyństwa wojny, częstokroć nieuniknionej — lecz narzędzia zabójcze do codziennego użytku, w prywatnem życiu sprzedaje się byle komu, żeby ludzie, uzbrojeni przeciwko sobie, mogli się na każdym kroku bez przeszkody mordować. I tworzy się generacya, zbrodniarzy, a la Bekierski, Siczyński et consortes.

Zaprawiają się do tego szlachetnego rzemiosła i wyrostki, małpiego snać pochodzenia, i sypią wzdłuż szyn tramwajowych materyały wybuchowe, by idyotycznie, radować się hukiem wystrzałów, które przerażają setki ludzi. Czyż może być większe barbarzyństwo teroryzujące ogół osób dorosłych — za pośrednictwem rozbestwionej zgrai zwyrodniałych łobuzów.

Proszę wyobrazić sobie, że wzdłuż każdej z tych ulic, któremi tramwaj kursuje, dzieją się w każdej niemal kamienicy, rodzinne dramata chorób — nieszczęść — bolesnych narodzin i skonów ludzkich! nerwy przedraźnione i zszamotane bądź pracą — moralnem cierpieniem — niedostatkiem lub chorobą, wyczekują nocnego spoczynku, jako jedynej chwili wytchnienia.

Na te chwilę czatują mali, czy wielcy zbrodniarze, by z całą bezkarnością, pod osłoną nocnego mroku, urządzać sobie łotrowskie igrzyska, i zaprawiać się do lekceważenia wszelkich względów, dla zaspokojenia własnej małpiej satysfakcyi.

I czyżby na to nie znalazła się rada?! Wszakże w teatrze grają „poskromienie złośnicy" Szekspira. Widać, że na wszystko jest rada, tylko trzeba ją systematycznie aplikować z właściwej strony! W równej mierze z akcyą wybuchową, należałoby prowadzić reakcyę brzezinową, bo ona jedna posiada naturalną moc poskromienia młodych bombardzistów; zaniechanie tego środka skutecznego, odwraca porządek świata głową na dół — a nogami do góry.

Uhu.

Coś nie coś o telefonie.

Co to jest telefon? To przyrząd z drzewa i drutów, przyrząd, który dzwoni. W domach „porządnych" stoi na biurku pana, lub wisi w przedpokoju, przy fotelu, umieszczonym dla wygodnej rozmowy. Telefon więc, to przyrząd, maszynerya? Nie, to istota żywa, posiadająca swoją psychologię. Istota, która słyszy, widzi, mówi a nawet — myśleć może. To zwierciadło, to Röntgenowski aparat, odsłaniający nam to, czego nie dojrzy oko.

Absurd! Paradoks!... — powie ten lub ów. — Toć przecie mówiący zasłania się odległością, może usiąść w najciemniejszym pokoju, może wszystkie swoje myśli ukrywać, bo rozmówca go nie widzi, po wyrazie jego twarzy poznać nie zdoła, czy mówi naprawdę czy kłamie. Skądinąd nie może też dostrzedz, czy w chwili wyznań miłosnych osoba, wysłuchująca je po drugiej stronie aparatu, nie tuli się do innych ramion.

Telefon jest więc przyrządem do okłamywania ludzi. Tak. Ale może być czemś wręcz przeciwnem. Maskę obłudy nakładamy zwykle, idąc pomiędzy ludzi. Jeden drugiemu nie ufa, jeden chce podstępnie wydobyć tajemnicę drugiemu, maskę mu zedrzeć. Bywamy nieraz oszukiwani i oszukujemy innych. Głos nasz, gdy znajdujemy się w towarzystwie, bywa za ostry, lub za słodki — jesteśmy konwencyonalni. Nawet gdy nam zależy na tem, aby być „sobą" nie zawsze umiemy — tak silnym jest nałóg udawania.

Lecz, gdy się ukryjemy po za telefon, jesteśmy sami — słyszymy tamtego, słyszymy go lepiej, niż w rozmowie oko w oko, słyszymy jego oddech, jego westchnienia, słyszymy drżenia jego głosu, któreby uszło naszej uwagi wśród światowego zgiełku, a dolatuje tutaj wśród ciszy. Po drucie lecą ku nam jego niewyrażone myśli, bo tak cicho, bo słuchamy uważnie. I oto ukazuje się nam obraz naszego rozmówcy taki, jakim go sobie przedstawiamy a dzięki temu wyobrażeniu, mówimy tak, że i on staje się innym, nie konwencyonalnym, nie banalnym, i mówi to, czegoby nam nie powiedział oko w oko, bo i jemu zdaje się, że jest sam. Wszak go nikt nie widzi, więc może się nie krępować, może być szczerym, być — sobą.

Jeszcze jedno: trzymasz rurkę przy uchu, a drugi koniec aparatu jest przy uchu... tam tej: kto chce, komu na tem zależy, może rurkę pocałować — i wyobrazić sobie, że całuje uszko, przytykające do drugiej rurki, wyobrazić sobie, że ten pocałunek przejdzie po drucie, muśnie policzek — tamtej. Wszak telefon jest istotą żywą i wszystko wiernie oddaje... a w pokoju cicho, ciemno — nikt nie usłyszy, nie dojrzy.

Więc lepiej nam, niż było naszym dziadkom i babkom. Kochankowie współcześni mają jeden więcej sposób porozumienia się, objawiania swych uczuć! Telefon je wchłania i powtarza lepiej od powierników i powiernic. A przytem nigdy nie zdradza, nie robi intryg. Niech więc żyje telefon!

Ż.

Ze Świąt.

(Notatki reportera).

Przed kilku dniami słyszałem, jadąc tramwajem elektrycznym, podczas deszczu ulewnego, rozmowę dwu młodych i naturalnie pięknych pań, rozprawiających z całem przejęciem się o strojach wiosennych, na które z okazyi świąt naciągnęły swych panów małżonków, a następnie o pogodzie podczas świąt, gdyż to rzecz naturalna, że z kwestyą nowych toalet łączy się nierozerwalnie także kwestya pogody, jako wa-

runku, pozwalającego na pochwalenie się swymi strojami na ulicy. Niepokój ich w pewnej mierze usunął wówczas jakiś jowialny staruszek, który mimochodem, wysiadając już z wozu, rzucił im: „Jakie Zwiastowanie, takie Zmartwychwstanie“, czem odrazu rozpogodził twarzyczki poważnie zafrasowanych kobietek. Niestety, przepowiednia nieznajomego staruszka nie spełniła się, bo pogoda wcale nie dopisała. W pierwszy dzień deszcz lał jak z cebra, wczoraj zaś pogoda nie była pewną, chociaż popołudniu słońce wcale silnie przygrzewało. Zawiedzione więc zostały nadzieje elegantek.

Niepogoda jednak nie wpłynęła znowu zbyt ujemnie na ogólny nastrój świąt, gdyż znacznej części mieszkańców Lwowa nie popsuła ona humorów i święta upłynęły im wesoło. To też przez całe oba dni spotykało się wszędzie wesołe, rozjaśnione radością twarze, wieczorem zaś można było natknąć się to na pojedyńczych osobników, to na całe towarzystwa dokumentnie „ululane“... radością i alkoholem.

Nie wszystkim jednakże święta pozostawiły po sobie miłe wspomnienie. Bardzo wielu bowiem zapisały się one gorzko, gdyż — teraz to w aresztach policyjnych to znowu w domu przykładając plastry na rany — przeklinają zbyt wielką ochotę i alkohol, który ich przyprowadził do bójek rozpamiętywanych obecnie w aresztach lub w łóżku. Bo dodać trzeba, że bito się wszędzie i wszystkiem, co komu pod rękę wpadło, a najgorzej na tych bijatykach wyszła stacya ratunkowa, która musiała rozbite łby i pokiereszowane boki z ran opatrywać.

Niefortunnie też zakończyły się święta dla jednego z wielkanocnych strzelców, których na szczęście w tym roku nie urządzili takiej jak dawniej kanonady.

Owym niefortunnym strzelcem jest terminator stolarski, Grzegorz Żuk. Strzelał on z pistoletu, ale nieszczęsnym trafem pistolet rozerwał mu w ręce za silny nabój, w następstwie czego nastąpiła eksplozya, która rozerwała Żukowi całą dłoń, tak, iż musiano go odstawić do szpitala powszechnego.

Tam również przewieziono Stanisława Nedwidka, stelmacha, któremu podczas „święconego“ przyjaciele serdeczni zadali kilka ran nożem w głowę.

Nie myślcie także Szan. Czytelnicy, aby nasi złodzieje podczas świąt nie kradli. Przeciwnie, oprócz wielu drobniejszych, mamy do zanotowania dwa większe włamania. W pierwszym wypadku włamano się do sklepu jubilerskiego N. Drucka w Rynku i skradziono kosztowności, wartości 1000 koron.

Drugie znowu włamanie urządzili złodzieje do mieszkania państwa J. Malsockich przy ul. Łyczakowskiej l. 39 a, niestety wszelkie przygotowania łupów na nic się nie zdały, gdyż musieli uciekać, spłoszeni przez sługę, która zawcześnie przyszła do mieszkania.

Policyanci-włamywacze.

Niezmierną sensacyę wywołało w Filadelfii wykrycie, że wielu tamtejszych policyantów należało do bandy włamywaczy, która od dłuższego już czasu dokonywała śmiałych włamywań i rabunków, szerząc formalną panikę wśród mieszkańców. Długo nie można było wpaść na trop organizacyi bandyckiej, co dzisiaj da się już wytłumaczyć tem, że policya sama, uczestnicząc w zbrodniczych czynach, starała się je raczej zataić, niż wykryć.

Dotąd aresztowano czterech policyantów, a sąd odmówił wypuszczenia ich na wolną stopę za kaucyą. W domu jednego z aresztowanych znaleziono przy rewizyi wielki skład przedmiotów wartościowych, pochodzących z kradzieży. Inny aresztowany zeznał, że w korpusie policyjnym jest mnóstwo włamywaczy; w jego obwodzie połowa wszystkich żołnierzy policyjnych należy do organizacyi bandyckich, w innych obwodach miasta panują takie same stosunki.

Dyrektor bezpieczeństwa publicznego, Clax, oświadczył, że również wielu oficerów policyjnych bądź należało wprost do szeregów włamywaczy, bądź pozostawało z nimi w cichym związku. Z tego powodu zawieszono już w służbie kilku urzędników policyjnych.

Głównym świadkiem w procesie przeciw policyantom-włamywaczom będzie dwunastoletni chłopiec, bardzo słabo zbudowany, który był podporą bandy, i wkradając się przez wąskie okienka do sklepów i składów, otwierał bramy włamywaczom.

Święcone u tych z pod kościoła...

Obraz z „dziadowskiego“ świata.

Zabrzmiały radosnym hejnałem kościelne dzwony, tłumy ludzi z rozjaśnionemi twarzami i gorejącemi oczyma wysypały się ze świątyń, w których półmroku błąkały się jeszcze dźwięki wesołego „Alleluja“.

Pod kościołem Bernardynów ruch panował niemały. Wychodzący z kościoła witali się, obcałowywali na ulicy, życzyli sobie wszystkiego dobrego, przystawali... Śród gwaru przedzierały się tylko dziadowskie błagania, które w Wielką niedzielę specyalnie nie pozostawały bez echa.

Wreszcie ucichło. Ludzie się rozeszli— pod kościołem zostało jeno kilku dziadów. Jeden był ślepy, ale trochę jeszcze widział; drugi bez ręki; trzeci, schylony wiekiem, opierał się na kuli — jednem słowem, dobrane okazy ludzkiej nędzy i ułomności. Po chwili wszyscy, jeden za drugim, poczęli się rozchodzić i sznurkiem, w pewnem od siebie oddaleniu idąc, minęli Rynek, potem plac Strzelecki, przeszli szkarpy i skierowali się ku Wysokiemu Zamkowi, aż wreszcie znikli w małym, parterowym domku, podobnym raczej do rudery, niż do porządnego budynku.

W domku tym, na końcu sieni, znajdowały się małe, zgarbione drzwiczki, wiodące do dość dużej izdebki, ciemnej, brudnoszarej, zimnej, zlewającej się z rdzawą patyną drobnych szybek, posklejanych brudnym papierem, w istną szmatę, zasłaniającą okno. Na środku izdebki stał stół, z nieheblowanych zrobiony desek a przy ścianach tuliły się cuchnące prycze, nakryte gałganami. W jednym rogu stały duże półki, a na nich rozłożone były przedmioty, których na razie nawet najtęższym wzrokiem rozpoznać nie było można.

Za małą chwilę izdebka napełniła się dziadami i wraz rozbrzmiała gwarem. Tu bowiem miała schronisko pewna grupa lwowskich dziadów, i to tej lepszej kategoryi, która ma spryt i umie żebrać, bo i do tego trzeba mieć trochę sprytu.

Jeden z dziadów, nie bez przyczyny zwany Kuternogą, stanął w środku i potrząsając swoją dziadowską kulą, zaczął uspakajać rozgwarzonych towarzyszów.

— Święcone trza obchodzić po krześcijańsku! — zawołał. — Siednąć!

Słowa poskutkowały. Dziadostwo posiadało na zydlach i na pryczach. Kuternoga zaś podszedł do swej pryczy, odrzucił gałgany, zaczął coś przewracać w słomie i wreszcie wrócił na środek, porzuciwszy już swoją kulę, ale za to dzierżąc w ręce długą, zakorkowaną i zalakowaną butelczynę.

— Trzeba naprzód zacząć od pocieszycielki! — rzekł głośno, odkorkował i przytykając butelkę do ust, mówił: — Nasze zdrowie! Żeby wszystkie dziady były takie, jak my!

Bulgotanie, jakie było słychać przez chwilę, dało znać, że Kuternoga spełnił zdrowie solidnie. Potem butelka przeszła w ręce najbliższego dziada i krążyła dalej a Kuternoga opowiadał:

— Dobry chłop ten od Baczewskiego. On wi, że i dziad umie się napić wódeczności. Wsunął mi buteleczkę do kieszeni. Dajże mu niebo, Panie Boże!

Tymczasem drugi dziad wydobył z półki wielki pakiet i rozłożył go na stole, Wraz całe dziadostwo rzuciło się ku niemu i przysiadło stół, jak wróble dojrzewającą pszenicę. A było do czego się rzucić. Na stole ukazało się bowiem kilka kilo okrawków rozmaitych wędlin, duży chleb, a nawet kawałki placków i babek wielkanocnych. Zaczęło się przeżuwanie „darów bożych“, że przez chwilę słychać było jeno rzechotanie szczęk i mlaskanie językiem.

— A trza się było narobić, żeby to uśperać — ozwał się wreszcie jeden dziad. — Ludzie teraz są pogany prawdziwe. Na te ciężkie czasy, to dają helera.

— Módl się człowieku, gadaj przez godzinę, to ci spadnie dwa grejcary do kapelusza — mówił ten co to był ślepy, ale trochę widział, zwłaszcza w domu.

— Juści najlepiej, to iść do pana — mówił trzeci — dziś rano poszedłem do mojego radcy i wsunęli mi całą paczkę tego mięsiwa. A smakuje, że palce lizać.

— I Muszyński chłop niezły — rzekł czwarty dziad. — Jakem mu zaczął mówić o mojem kalectwie i chorobie żołądka, to ci mi zaraz dał kontuszówki.

— Dawać ją tu! — ozwały się głosy. I za chwilę butelczyna krążyła znowu od ust do ust, aż w niej nawet gazu z wódki nie zostało.

— Ano, kiej święcone to święcone — zawołał dziad, Kapusiem zwany. — To i winka nie zbraknie!

— Dawaj wino Kapuś! — zaczęto krzyczeć.

— Zaraz, zaraz — cedził Kapuś. — Dwa tygodnie szparowałem na to wino i kupiłem.

Z pod pryczy Kapusia wydobyły się znowu butelki, zapieczętowane czerwonym lakiem. Było ich kilka, to też kiedy dziadkowie je wypróżnili, humory się rozpętały i gwar się zrobił niemały. Kapuś, który na Kalwaryę rok rocznie chadzał i głos miał wyrobiony, wzniósł nagle butelkę i przytupując obcasem, zaczął nucić skocznego krakowiaka:

A niema to niema, jak dziadowska bieda,
Dziad se dobrze żyje, choć mu nikt nic [nie da.

— Aha — przerwał jeden — dzisiejsze ludzie! Dzisia to człek musi nadrabiać i głową i gardłem, żeby co wydusić. Psiekrwie!

Ale Kapuś był już wesoły. Śpiewał tedy dalej:

Nie pójdzie fiakier spacerkiem po dachu,
Muszą być morowcy i w dziadowskim fachu.

Wesoło się zrobiło w dziadowskim schronisku. Dziadkowie poodrzucali kule, zaczęli chodzić po izdebce, całować się i ściskać, niektórzy podrygiwali w śmiesznych skokach.

Znalazło się jeszcze trochę wódki i jeszcze trochę wędlin, powyjmowanych ze sienników i z pod prycz, gwar stawał się coraz głośniejszy.

— Dobre ludziska — bełkotał dziadek, zwany Kuternogą — nie dadzą zginąć dziadkowi, biednemu kalice, przezręców i przez nogów — i wyciągnął właśnie swoją krótszą nogę.

— Niema już wódeczności? — zawołał Kapuś nagle.

— Nie, niema — odparło kilka głosów.

— A niechże to wciórności! — zaklął Kapuś.

— Bedzie jutro — ochrypłym głosem krzyknął Kuternoga. — Bedzie!... Ludziska dobre — dziadkowi nie pożałują... Dobre ludziska!...

Przewrócił się na tapczan i zaczął chrapać.

A dziadkowie poszli powoli za jego przykładem. Za chwilę w izdebce słychać było tylko chrobotanie, charczenia, jakby dziesięć pił rznęło drzewo...

Ludziska dobre — dziadkowi nie pożałują... Z.

Humor i satyra.

Zrozumiałe.

— Nie pojmuję, jak pan może śmiać się z głupich dowcipów tego jegomościa.

— Jestem jego dłużnikiem...

Z doświadczeń życia.

Skarżył się srodze Józef, że zakatarzony,
Kichać wciąż od wieczora musi aż do rana.
— Nie narzekaj,—rzekł lekarz — bądź [zadowolony.
Że katar cię nawiedził, nie tyfus, jak Jana
Na to Józef:
— Doktorze, pogląd twój niejasny,
Bo lżejszy cudzy tyfus, niźli katar własny!

— Czy wiesz, Józiu, kto powiedział słowa: „Minęły piękne dni Aranżuezu?“

— Powiedział tatko, kiedy mama ze wsi wróciła!

Kronika.

Kalendarzyk:

Dziś: Rz. k. Anzelma — gr. k. Iridiona.

Jutro: Rz. k. Sot. i K. — gr. k. Jewpsich.

Repertuar teatru miejskiego (pod dyrekcyą Ludwika Hellera).

We wtorek o godz. wpół do 4-tej popołudniu „Jaś i Małgosia“, bajka operowa w 3 aktach Humperdincka.

We wtorek o godz. 7-mej wieczorem. „Wesoła wdówka“, operetka w 3 aktach Lehara.

We środę o godz. 7-mej wieczorem. Po raz pierwszy „Świętoszek“ (Tartuffe), komedya w 5 aktach Moliera.

Samobójstwo byłego dyrektora poczt i telegrafów. Antoni Schiffner, radca dworu emerytowany dyrektor poczt i telegrafów, odebrał sobie życie wczoraj o godzinie 6. rano w mieszkaniu swem przy ul. Mickiewicza l. 10. strzeliwszy sobie z rewolweru w prawą skroń. Powodem samobójstwa był rozstrój nerwowy, wywołany utratą wzroku. Sp. zmarły liczył lat 74.

Wyjaśnienie. Odnośnie do zamieszczonej przed kilku dniami w piśmie naszem notatki o awanturze, jaka miała miejsce na zgromadzeniu towarzystwa „Samopomoc rolnicza“, odbytem w „Gwieździe“, otrzymujemy od adwokata dra Józefa Morawieckiego pismo następujące: Awantura na zgromadzeniu „Somopomocy rolniczej“, została wywołaną nie przez członków rady nadzorczej, ale właśnie przez dotychczasowego, a za różne nieprawidłości zasuspendowanego dyrektora Hardego, który wskutek tego rozwinąwszy szaloną agitacyę wśród ruskich członków towarzystwa, ściągnął ich blisko pięciuset w tym celu, aby opanować rządy w tem, przez Polaków założonem i pięknie się rozwijającem towarzystwie.

Uczynił to w tej myśli, że nowi sojusznicy, za jego zdradę narodowa, wynagrodzą go oddaniem mu naczelnego zarządu— i lepszą, niż dotąd płacą, aby mógł większe korzyści ciągnąć z towarzystwa — i ażeby mu jego dotychczasowe sprawki bezkarnie uszły.

Napaść tego jegomości na radę nadzorczą, jest więc najbezczelniejszą potwarzą i najlepszem świadectwem charakteru tego świeżo upieczonego rusina. Pogratulować nabytku. Rzekomych kroków sądowych oczekuje rada nadzorcza z całym spokojem bo na nich tylko p. Hardy źle wyjść może; zresztą sama rada też wnosi skargę.

Mord rytualny. Jak zwykle, o koło Wielkiejnocy, pojawiają się tu i owdzie między ludem baśni o mordach rytualnych. Świeżo rozpuszczono taką wieść na Morawach, a mianowicie, że na stacyę Skalica nadeszła skrzynka, w której znajdować się miała maleńka omdlała dziewczynka, która miała paść ofiarą żydowskiego przesądu, t. j., że upuszczono jej krwi — na mace. Jakkolwiek żandarmerya stwierdziła, że to jest wierutną bajką — pogłoska wywołała ogromne wzburzenie w całej okolicy — i zachodzi obawa poważnych awantur z żydami.

Znowu morderstwo na tle seksualnem i znowu naturalnie w państwie „dobrych obyczajów“. W Elwangen znaleziono 16-to letniego chłopca, Józefa Hiebera, zamordowanego w sposób iście bestyalski. Mordercą, jak się okazało, był również 16 letni robotnik fabryczny Kasper Müller w afektacyi zadusił Hiebera, a później, aby się upewnić, że nie żyje, rozbił mu czaszkę żelazną laską. Chciał zwłoki pogrzebać w lesie ale nadeszło kilku chłopów, którzy go pochwycili

Fotografia głosu. W paryskiej Akademii nauk przedstawił p. d'Arsonal nowy ciekawy aparat, przy pomocy którego dr. Marago zdołał utrwalić fotograficznie wibracye głosu. Wynalazek umożliwia dokonywanie zdjęć fali głosowych do 20 metrów długości, a fotografie są bardzo wyraźne i umożliwiają rozpoznawanie wad głosowych. Przyrząd ten stanowić będzie bardzo cenny środek pomocniczy zarówno dln nauki, jak i dla praktyki nauczycieli śpiewu i języków.

Aresztowanie na... mokro. Żandarmerya włoska (carabinieri) w Udine, dokonała w tych dniach ciekawego aresztowania. Już blisko od roku kręcił się po różnych miejscowościach prowincyi Belluno, jakiś niewyraźny pan, z aparatem fotograficznym pod pachą i „zdejmował“ rozmaite widoki z natury. W żadnej miejscowości nie zatrzymywał się dłużej nad trzy dni, a wszędzie płacił za nocleg i utrzymanie rzetelną gotówką. W miejscowości Neana rozdawał nawet między ludność ubogą jakieś cudowne leki. Stał się wreszcie podejrzanym i karabiniarzy zaczęli mu następować na pięty. Kilka razy już... już mieli go prawie w rękach, ale zawsze tajemniczy pan jakoś wyślizgnąć się potrafił. Ale przyszedł, kres. Przed paru dniami w Tarcento chwycił go żandarm nad brzegiem rzeczki Torre. Nieznajomy bronił się rozpaczliwie. W ciągu szamotania się obaj nieznajomy i karabinier, wpadli do rzeki i tutaj dalej kontynuowali bohaterskie zapasy, aż dopóki nie nadbiegli inni żandarmi. Ci dokonali wreszcie formalnego aresztowania... w wodzie. Na lądzie, tj. w policyi miejscowej podał mokry aresztant, że się nazywa Rudolf Neumann, że do niedawna był porucznikiem w wojsku austryackiem w Zemuniu (Semlin), że z wojska zbiegł. Co do swej jednakże włóczęgi po ziemi włoskiej, i ukrywania się przed karabierami nie dał żadnych wyjaśnień. Włosi zatrzymali go w kozie, bo myślą, że to austryacki szpieg wojskowy.

Wypadek na morzu. W pobliżu przylądka Blanc rozbił się statek angielski „Star of-Japan“, płynący z Londynu do Australii. Załoga w obawie dostania się w ręce Maurów, zebranych na wybrzeżu, pozostała na pokładzie i sygnałami wzywała o pomoc, Nikt jednak z pomocą nie przybył. Dopiero piątego dnia łódź wysłana w stronę Dakar spotkała statek żaglowy niemiecki „Hanswormann“, który przyjął na swój pokład całą załogę statku angielskiego i odwiózł ją do Las Palmas. Kapitan, oficerowie i mechanicy, chcąc ustrzedz statek od rabunku, pozostali na nim w oczekiwaniu na statek ratowniczy.

Truciciele. W pociągach rosyjskich kolei południowo-zachodnich operuje nie wykryta dotychcsas banda złodziei, używających w celu umożliwienia grabieży różnych środków trujących. Wypadków tego rodzaju otrucia, a następnie ograbienia, w ostatnich czasach notowano około 15. W większości ich nastąpił zgon.

Skazanie na rózgi. Z Łodzi donoszą, iż z rozporządzenia tymczasowego generał-gubernatora kilkunastoletni Józef Walter, za zakłócenie spokoju przez zatrzymywanie dorożek, skazany został na 25 rózg. Szesnastu chłopców, których schwytano na podrzucaniu pod wagony tramwajowe petard, skazano również na 25 rózg każdego. Po wymierzeniu kary wypuszczono ich na wolność.

Samobójstwo z miłości. Z Przemyśla donoszą. Około godz. 8 z rana w Wielki Piątek strzeliła do siebie w zamiarze samobójczym panna Salomea M., z zawodu szwaczka. Nieszczęśliwa desperatka w dwie godziny po odwiezieniu jej do szpitala, wśród strasznych boleści zmarła. Powodem rozpaczliwego kroku była zawiedziona miłość i gwałtowna sprzeczka z narzeczonym, który ją chciał porzucić.

Wieża nad wieże. Inżynier Tournay z Leodyum, otrzymał od komitetu wystawy światowej w Brukselli, projektowanej na r. 1910, upoważnienie do wybudowania na wystawie wieży, wysokości 400 metrów, a zatem wyższej o 100 metrów, od słynnej wieży Eiffla. Koszta budowy obliczono na 1,200.000 franków. Wieża ta będzie mogła oddać telegrafii bez drutu, nieocenione usługi. Ciekawem jest że „tour“ po francusku, znaczy „wieża“ — więc pan Tournay wziął się do rzeczy, do której jakby już z góry był przeznaczony.

Pojedynek małżonków. Przy Rue Therese w Paryżu mieszkali małżonkowie hr. Lanez, żyjący mimo wielkopańskich pozorów w wielkiej biedzie. Hr. Lanez miał ongi dobra, lecz grając namiętnie w karty przegrał wszystko i utrzymywał się z tego, że oprowadzał obcych po Paryżu, jako przewodnik. Żona jego, Szkotka, pracowała cały dzień w domu, jak prosta sługa, rzadko kiedy wychodząc do miasta. Mieli 17-letnią córkę bawiącą obecnie w Anglii. W nocy na 13 bm. o godzinie 2 wypadła hrabina tylko w koszuli z mieszkania na korytarz skrwawiona cała, i zaalarmowała

dom, wołając, że mąż w napadzie szału strzelał do niej, a ona broniła się własnym rewolwerem. Gdy sąsiedzi weszli do mieszkania Lanezów, zastali już tylko na podłodze martwe zwłoki hrabiego, z rewolwerem w ręku. Przypuszczają, że w nocy była między małżonkami gwałtowna sprzeczka, z powodu właśnie owej córki, i że w trakcie sporu oboje pochwycili za rewolwery i wzajemnie do siebie strzelali. Hrabina jest tylko lekko zranioną.

Pomysłowi dostawcy buraków. Szczególne oszustwo odkryto w akcyjnej rolniczej fabryce cukru w Brodku na Morawach. Śledztwo, wdrożone na podstawie doniesienia jednego z akcyonaryuszy wykryło, że od szeregu lat, wielu akcyonaryuszów, a między nimi bardzo zamożni włościanie, w porozumieniu z urzędnikami fabryki, otrzymywali z jej kasy znaczne kwoty za buraki, których wcale do fabryki nie dostawili. Szkoda ma wynosić około 300.000 kor. Dotychczas uwięziono już pięciu takich pomysłowych fikcyjnych dostawców.

Dziwne więzienie. Trzy instancye karno-sądowe w Paryżu odrzuciły prośbę uwięzionego bankiera Rochette'a, który zakładał fikcyjne banki i wydawał akcye na równie fikcyjne przedsiębiorstwa. — Rochette pozostaje w więzieniu śledczem, ale jak donosi *Matin*, od kilku dni opuszcza go rano i jedzie automobilem do biura swego banku „Credit Minier" i „Franco-Espagnole", gdzie załatwia wszystkie sprawy. Następnie wyjeżdża na spacer, spożywa śniadanie, obiad i kolacyę w restauracyi, poczem o godzinie 10 w nocy wraca do więzienia. Dwaj agenci policyjni towarzyszą mu wszędzie, ażeby uniemożliwić ucieczkę, o której zresztą, jak twierdzi *Matin*, Rochette nie myśli.

Morderstwo w berlińskim Tiergartenie. Sprawcę morderstwa na 14-letnim Blecherze, wyśledzono w osobie niejakiego Heidera. W mieszkaniu jego, w szafie, znaleziono już przy pierwszej rewizyi spodnie, poplamione krwią; morderca przeczy jednakże, jakoby to była krew. Znaleziono na poręczy i dolnym brzegu emaliowanego kociołka, ślady krwi; widać je także na wewnętrznych drzwiach staroświeckiej szafy kuchennej i na desce okna, wychodzącego na podwórze. Znaczne ślady krwi znajdują się również na jednej z poduszek i na ścianie obok wodociągu. Wszystkie te ślady są jednakże niczem wobec tego, co znaleziono w zwyczajnym białym piecu berlińskim, jak się pokazało, ciepłym jeszcze. Otóż w popiele natrafiono na resztę spalonego palca, członka prawej ręki. Obciąża to Heidera tem bardziej, że przy ciele zamordowanego Blechera, brak właśnie rąk i nóg. Bez wątpienia wpakował morderca części te w piec — i spalił je. Wybrano tedy cały popiół z pieca, aby go zbadać chemicznie. Heiderowi nie mówiono nic o znalezieniu tych przekonywujących dowodów, to też ma on wcale dobrą minę, mniemając widocznie, że usunął z mieszkania wszystko, coby służyć mogło do wykrycia zbrodni. Gdy go wyprowadzono z domu na ulicę, aby go odwieźć z powrotem do więzienia, przybrał wyczekujący na ulicy tłum tak groźną postawę, że okazała się potrzeba przywołania straży, która obroniła mordercę przed doraźnym wymiarem sprawiedliwości.

Podwójne zabójstwo przed szeregiem. Jak donoszą pisma rosyjskie, w Liwadyi, podczas ćwiczeń pułku strzelców, freiter Litwinienko, strzelił do kapitana Somowa, którego trafił w serce. Kapitan padł, lecz miał jeszcze tyle sił, że podniósł się. Litwinienko strzelił po raz drugi i tym razem znów trafił S. w serce. Kapitan natychmiast zmarł. Następnie Litwinienko skierował karabin do stojącego obok porucznika Aboleńskiego i zranił go w rękę. Porucznik padł na ziemię, a wtedy Litwinienko ponownie strzelił do leżącego i śmiertelnie zranił go w pachwinę. Abolenskij w parę chwil potem zmarł. Wtedy dowódca pułku Kianowski, rzucił się na zabójcę, który dał jeszcze jeden strzał, lecz chybił. Zabójcę aresztowano.

Powodzie. Z Heleny, stolicy stanu Montana w Ameryce donoszą, że wszystkie okolice w górnym beigu rzeki Missouri, znajdują się pod wodą. Na dwadzieścia mil wszerz okolica podobna jest do jeziora, z którego domy wielu miast wystrzelają jak wyspy. Setki farm odciętych jest od świata. Mieszkańcy schronili się w góry. Wielu ludzi utonęło, tak samo zginęło wiele bydła. Szkoda jest olbrzymia.

Z dziejów pruskiej moralności. W mieście Linden koło Hanoweru pedel jednej, ze szkół żeńskich nazwiskiem Rennenkamp został uwięziony z powodu popełnienia całego szeregu przestępstw przeciwko moralności na nieletnich dziewczynkach szkolnych. Rennenkamp, liczący 50 lat życia, był pedelem w trzech szkołach i od 20 lat popełniał wspomniane występki.

Cesarz Wilhelm i Odysseusz. Władcy pruskiemu, podczas niedawnego jego wylądowania na wyspie Korfu, zgotowano niesłychanie wspaniałe przyjęcie, a burmistrz Collas, wygłaszając przemowę powitalną, dał się porwać do tego stopnia ważnością historycznego momentu, że przeprowadził szczególne porównanie. Powiedział, że historya wyspy ma tylko dwa epokowe zdarzenia do zapisania w swoich kronikach. A mianowicie pierwsze, gdy Odysseusz podczas swej podróży morskiej, zawadził o Korfu — i drugie, kiedy cesarz Wilhelm wylądował na wyspie — dwaj wielcy podróżnicy! O cesarzowej Elżbiecie burmistrz „na śmierć" zapomniał. Ale za to dał cesarzowi Wilhelmowi doskonały pomysł do nowego projektu pomnika. Niezawodnie też ujrzymy wkrótce szkic (narysuje go Wilhelm sam) przedstawiający Cezara niemieckiego w klasycznej nagości greckiej, jako Odysseusza, przybijającego na łodzi do brzegu Korfu. To będzie wspaniałe.

Katastrofa na rzece.

(*Do ryciny*).

Koło miejscowości Marosz na Węgrzech zdarzył się uwidoczniony na tytułowej rycinie nieszczęśliwy wypadek utonięcia wozu z parą koni i woźnicą. Ten ostatni, przejeżdżając nad rzeką, bardzo bystrą i głęboką, chciał napoić konie. Wjechał więc w wodę, nie wiedząc, że w tem właśnie miejscu zaraz u brzegu zaczynała się głębia. Konie, zaledwie wszedłszy do wody, straciły nagle grunt pod nogami i pociągnęły za sobą wóz z kierującym nim woźnicą. Po chwili z wozu, koni i woźnicy nie było już ani śladu, pochłonęła ich zdradziecka głębia rzeki.

Wiadomości telegraficzne

„Gońca Polskiego".

Zatarg włosko-turecki.

Konstantynopol. Wobec wysłania eskadry włoskiej do Turcyi zawiadomił rząd tutejszego ambasadora włoskiego o pozwoleniu na otwarcie 5 urzędów powiatowych włoskich w myśl żądania Włoch.

Wypadek króla hiszpańskiego.

Madryt. Gdy król wczoraj jechał automobilem do teatru, zderzył się samochód z wozem tramwajowym i doznał nieznacznych uszkodzeń. Król, który wyszedł bez szwanku, mógł dalej jechać automobilem.

Zderzenie pociągów.

Medyolan. Nocy ostatniej zderzył się pod Sesto Calende pociąg osobowy z ciężarowym, 10 osób zostało zranionych.

Nadesłane.

Pociągi kolejowe

od dnia 1. maja 1907. r.

Ze Lwowa odchodzą do	rano	prz. p.	popoł.	wiecz.	noc
Krakowa ...	3·45	8·25*	2·45*	7·05*	11·00
„	—	8·40	6·15	7 20	12·45*
Rzeszowa ..	—	—	4·05	—	—
Podwołoczysk ...	6 20	10·45	2·17*	7·00	11·45
Czerniowiec.	6·10	9·20	1·55*	—	10·40
„	—	—	—	—	2·51*
Stanisławowa ...	—	—	—	5 50	—
Kołomyi....	—	—	2·35	—	—
Stryja	7·30	—	2·26	6 25	11 30
Pustomyt...	7·30	—	2·26	6·25	11·30
Sambora ...	6 00	9·05	4 30	—	10 51
Lubienia....	6·00	9·05	2·10†	4·30	10·51
Rawy ruskiej	6·12	11·05	—	7·10	11·35†
Janowa.....	6·58	9·15	1·35†	3 35	6·30
Brzuchowic.	6·12	11·05	2·28	5·45	8.34†
„	9·06†	12·41†	3·45	7·10	11·35†
Zimnej wody	3·45	8 40	4·05	7·20	11·00
Do Lwowa przychodzą z					
Krakowa ...	5.50	8·55*	1·30*	5·25	9.50
„	7 25	9·45	—	8·40*	2.31*
			1·10	—	—
Rzeszowa ..	—	—			
Podwołoczysk...	7·20	12·00	2·16*	5·40	10·30
Czerniowiec	8·05	—	2·25*	—	9·00
„	—	—	3'55	—	12·20*
Stanisławowa ...	5·55	—	—	—	—
Kołomyi ...	—	10·05	—	—	—
Stryja	7·29	11·50	3·51	—	10·50
Pustomyt...	7·29	11·50	3 51	—	10·50
Sambora....	8·00	10·30	1·55	—	9·20
Lubienia....	8 00	10·30	1·55	9·20	11·50†
Rawy ruskiej	7·10	12·40	4·50	—	—
Janowa.....	8·22	1·15	5 00	9·25	10·10†
Brzuchowic.	7·10	12 40	1·46†	4·50	8·20
„	10 05†	—	3·25	5·30	9·35†
Zimnej wody	5·50	7·25	1·10	5·25	9·50

Pociągi pospieszne oznaczone *; kursuią tylko w niedzielę i święta †.

WYDAWCA I ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: IGNACY GŁOWACKI. Z DRUKARNI „UDZIAŁOWEJ“, KOPERNIKA 20.